

Czas kultury



fot. Agata Hudomięt

Nie wiem, czego jestem częścią

Mateusz Romanowski, Wojtek Kidd Cichoń

Muzyka | Rozmowy



Mateusz Romanowski: Kiedy pierwszy raz pomyślałeś o tym, że będziesz rapował?

Wojtek Kidd Cichoń: Już od podstawówki poznawałem różną muzykę. Wtedy jeszcze nie myślałem o muzyce przez pryzmat gatunków: słuchałem metalu, Pro-Pain, Sepultury, ale też Rage Against The Machine, Cypress Hill, Body Count czy Ice Cube'a. Mój Tata był w Stanach Zjednoczonych, kiedy Nirvana wydała „Nevermind”, więc znałem tę płytę zanim dotarła do Polski. Przywiózł ją mojej siostrze, która była fanką grunge'u. Później dzięki niej poznawałem też Pearl Jam, Alice In Chains czy Stone Temple Pilots. Próbowaliśmy uczyć się gry na gitarze, ale nie miałem do tego cierpliwości. W liceum razem z kolegami freestyle'owaliśmy na różnych imprezach – nie na poważnie, raczej dla zabawy. Potem zacząłem pisać teksty. W końcu trafiłem na stricte hip-hopowe imprezy i poznawałem osoby związane z tą kulturą.

Imprezy te odbywały się w Elblągu i były na nich obecne wszystkie elementy kultury hip-hop poza graffiti. Przed koncertami odbywały się pokazy lokalnych b-boy'ów, DJ-ów i beatboxerów. Robiło na mnie wrażenie, że ta kultura była na wyciągnięcie ręki, mimo że Elbląg nie jest dużym miastem. Na pierwszej z tych imprez jeszcze byłem długowłosym metalowcem w bluzie z kapturem. Wtedy też do mnie doszło, że można pisać i jest przestrzeń, aby to zaprezentować.

A w jaki sposób pojawił się w twoim życiu slam?

Czas kultury

Saula Williamsa. Brzmiało to zupełnie inaczej niż wszystko, na co natrafiałem w tamtym momencie. To były początki dostępu do Internetu w Polsce, więc zacząłem tam szukać informacji dotyczących tego artysty. Tak natknąłem się na termin slam, którego jeszcze w Polsce nie było. Nie zastanawiałem się wtedy, co to jest, ale bardzo mnie to pasjonowało. Pierwsze wydawnictwo Saula Williamsa, wyprodukowane przez Ricka Rubina „Amethyst Rock Star” kupiłem na kasecie i do tej pory znam je na pamięć. Pod jego wpływem też zacząłem pisać pierwsze rzeczy nie rapowe, a spoken wordowe.

Kiedy zorientowałeś się, że już pojawiają się w Polsce slamy?

Podczas studiów z anglistyki w Warszawie zobaczyłem plakat reklamujący slam w Starej ProchOFFni. Byłem przestraszony, bo nie znałem zasad kierujących takimi wydarzeniami. Reakcja ludzi była na tyle pozytywna, że przeszedłem do następnej rundy. Przyszedłem zupełnie nieprzygotowany, tylko z jednym tekstem. Skończyłem w finale, ale jako pokonany. Po tym bardzo zaangażowałem się w scenę slamową; miałem okazję wyjść do ludzi, którzy nie słuchali rapu i było im bliżej do poezji. Wystąpiłem tam jako Wojtek Cichoń, a nie Kidd, i reakcja była naprawdę dobra. Teraz hip-hop jest mainstreamowy, ale jeszcze w latach 90. i na początku lat zerowych był postrzegany jako gloryfikująca seks i narkotyki muzyka dla byłych albo przyszłych więźniów. Wszystkie te etykiety mi nie pasowały. Słuchałem dużo undergroundowego amerykańskiego rapu, który utożsamiałem z innymi postawami. Przez długi czas występowałem na slamach, potem je prowadziłem, aż do momentu, kiedy przyszedł COVID.

Jak odnosisz się do wydawania tekstów slamowych w formie książek i tomików?

Kiedy zaczynałem występować, moim celem było, żeby znać

Czas kultury

ludziom w oczy i podaniu im tekstu. Sam pisałem z myślą o scenie, ewentualnie z myślą o nagraniu audio i uważam, że przede wszystkim w tych kontekstach teksty slamowe powinny się bronić. Koniec końców na slampie i tak publiczność decyduje, kto przechodzi do następnej rundy: czy będzie to ktoś chowający się za telefonem, czy ktoś, kto nauczył się tekstu na pamięć. Co za tym idzie, publiczność decyduje, co jest poezją, a co nią nie jest. Uważam, że rzeczy napisane na slam pisze się inaczej, niż rzeczy napisane z myślą o druku. Jednocześnie są osoby, które tworzą tak, że broni się to w tych obu kontekstach. Nie trzeba daleko szukać. Bywałem na imprezach slamowych w Niemczech, gdzie ludzie przychodzą z tekstami napisanymi tylko na slam. To później może im torować drogę do wydawania swoich tomików. Podobnie to działa w Polsce. Ktoś słucha i myśli, „trzeba to wydać, bo to jest dobre”. Pewnie jest dobre, choć pewnie jeszcze lepsze w wersji audio bądź scenicznej.

Zdarzało Ci się pisać coś tylko z myślą o druku? Takie pisanie zapewne jest inne niż tworzenie w kontekście występu...

Owszem, zdarzało mi się pisać teksty z myślą o druku. Były krótsze, minimalistyczne, przypominające raczej konstrukcje ze słów niż zdania. Kiedy piszę z myślą o występie, chcę, żeby były mocniej nacechowane emocjonalnie, z rymami, mające jakąś rytmikę, z miejscami na pauzę i słowa, które powinny być wypowiedziane głośniej lub ciszej. Tego wszystkiego nie przekażesz w druku, może bardziej w didaskaliach tekstu dramatycznego.

Prowadzisz też warsztaty spoken word. Wcześniej sam w takich uczestniczyłeś?

Kiedy slam wchodził do Polski we wczesnych latach zerowych było trochę instytucji, które sprowadzały z Wielkiej Brytanii czy Niemiec prawdziwych wyjadaczy. Byłem też na warsztacie z Bobem Holmanem, który jest legendą sceny slamowej w USA. Kiedy już tym

Czas kultury

Co wyniosłeś z tych doświadczeń?

Przede wszystkim to, że w slamie jest coś specyficznie anglosaskiego. Kiedy trochę pobędzie się z ludźmi z USA czy Wielkiej Brytanii, staje się oczywiste, że trochę prościej jest im nawiązywać kontakt z innymi ludźmi. Mają mniej problemów z nawiązywaniem kontaktu wzrokowego na scenie i są uczeni w szkołach występowania publicznego. Z takim doświadczeniem prościej im wyjść na scenę, wystawić się na oceny innych i konkurować między sobą. W Polsce nabranie przez uczestników dystansu do siebie samych i tego aspektu sportowej rywalizacji wymagało czasu. W naszej zbiorowej wyobraźni jest mocno obecna figura poety namaszczonego – z nią slam chciał walczyć. Teraz to, o co walczył slam, wpisało się w mainstream, ale na początku było to szokiem dla odbiorców czy krytyków literackich.



fot. Agata Hudomięt

Po 2020 roku zacząłeś wydawać więcej muzyki.

Czas kultury

z moich roczników koniecznie musiały wchodzić w schemat dom – praca – kredyt – rodzina. Myśląc o tym, żeby im było dobrze, po drodze pogodziłem się z rapem. Sam byłem źle nastawiony do tego, że zajmuję się rapem.

Dla pewnych osób samo robienie muzyki, z której nie ma pieniędzy, nie jest zajęciem adekwatnym dla dorosłych.

To prawda. Spotykałem się z różnymi śmiesznymi pytaniami, na przykład: czy z muzyki, którą robię, są pieniądze. Z jednej strony kwestionowanie wartości tego, co robię, przychodziło z zewnątrz, z drugiej od wewnątrz. Musiałem dojść do tego, że nic nie sprawia mi takiej osobistej satysfakcji, jak pisanie i nagrywanie. To było ze mną od zawsze i pomagało mi przejść przez najgorsze momenty w życiu. Życzyłbym moim dzieciom, żeby też znalazły pasję, która przeprowadzi ich przez życie. Jest na świecie mnóstwo przerażających rzeczy, na które nie mamy wpływu. Co z tego, że masz czteropokojowe mieszkanie, skoro nie wiadomo, czy w niedalekiej przyszłości nie uderzy w nie jakaś bomba. Przy pojawieniu się dzieci myślałem o tym, co je buduje, a następnie przeszedłem do refleksji nad tym, co budowało mnie. Rap pomagał mi przejść przez wiele sytuacji.

Za co szczególnie pokochałeś tę muzykę?

Dużo o tym myślę. Na pewno za możliwość stworzenia czegoś z niczego. Nawet jak nie masz gitary i perkusji, twój ziomek może zrobić beatbox, pod który możesz napisać tekst. Tak to wyglądało w realiach, w których zaczynałem. Dzięki muzyce poznałem też mnóstwo wspaniałych, bliskich mi mentalnie osób, które są ze mną do dziś. Czyli: pewna wspólnotowość i kultura DIY. Miałem też szczęście załapać się na ostatni moment, kiedy można było uznawać hip-hop za kulturę. Wspominałem o imprezach, na które chodziłem,

Nagrałeś mixtape w hołdzie dla Kendricka Lamara. Jak jako fan tego artysty postrzegasz to, co się wydarzyło w kontekście na przykład jego beefu z Drake'em?

Jeśli chodzi o Kendricka Lamara lubię najbardziej dwie jego płyty najmocniej odrzucane przez typowo hip-hop'ową publiczność – czyli „To Pimp A Butterfly” i „Mr. Morale & The Big Steppers” – jako jego płyty najdojrzalsze muzycznie, lirycznie i wykonawczo. Trudno mi szeroko komentować jego beef z Drake'em, bo nie rozumiem, jak można było kiedykolwiek słuchać na poważnie tego rapera. Od zawsze byłem uczulony na wykonawców, którymi kieruje bardziej chęć robienia pieniędzy niż budowania wspólnoty. Najchętniej umieściłbym takie postawy poza obszarem tego, co uważamy za rap – ale wtedy chyba nie byłoby rapu w obecnej formie.

Co jeszcze wystawiłbyś poza nawias rapu?

Rap podobnie jak hardcore i metal w swoich korzeniach to często muzyka pogubionych chłopców bez fajnego wzoru ojca; ludzi po przejściach; ludzi nieneurotypowych, którzy musieli się dopasować do neurotypowego świata. Myślę, że ze wszystkich tych stylistyk w rapie jest zdecydowanie najwięcej narcyzmu. Jeśli myślimy w kategoriach subkulturowych, wolałbym, żeby były odmiany rapu, gdzie jest fajne to, że nie korzystasz z substancji psychoaktywnych i nie jesz mięsa, a nie to, że pijesz alkohol i gardzisz kobietami.

Widzisz jakąś nadzieję, żeby mainstreamowy rap subkulturowo mógł się jeszcze zmienić?

Myślę, że obecnie raczej możemy mówić o modach i trendach niż subkulturach. Raczej nie ma już znaczenia, że ktoś Ci powie, że jest punkiem, potem stanie się sharpowcem, a na końcu skinem. Raczej skłaniałbym się ku temu, że nie ma ratunku. Nie tylko w rapie,

Czas kultury

ale nie w sposób asekuracyjny. Dużo osób angażuje swój pierwotny gniew w komentarze w social mediach zamiast w działania twórcze. Chciałbym jeszcze zobaczyć koncert punkowy czy metalowy, na którym „się dzieje”. Wydaje mi się, że to pieśń przeszłości, ale może się myłę. Największą siłą napędową sztuki i kreatywności są młodzi ludzie. Widzę w nich dużo uważności na to, żeby nikogo nie obrazić. Jednocześnie przekaz politycznego świata, w którym żyjemy jest niezakamuflowaną przemocą, na przykład na granicy polsko-białoruskiej, w strefie Gazy, na faszystowskich marszach w USA czy bardziej zapośredniczoną formą przemocy ekonomicznej. Ten kurek ciągle jest podkreśniany, bo tak działa logika kapitalistyczna. Z jednej strony mamy ukrytą przemoc, z drugiej ludzi twierdzących, że wszystko gra, trzeba o siebie dbać i nikogo nie obrażać. Widziałem młode osoby z tatuażami „I’m enough”. Nie wiem, jak to może pomóc w momencie, kiedy całe otoczenie systemowe mówi ci, że nie jesteś. Media społecznościowe też systematycznie nas odwracają na ludzką krzywdę. Jeśli śledzisz polityczne newsy, pierwsza rolka z niemowlęciem z urwaną głową w strefie Gazy jeszcze porusza, trzecia już nie. Wszyscy w tym w jakimś stopniu uczestniczymy. Podobnie działa przemoc ekonomiczna, której przejawem jest na przykład fastfoodowa dieta. Wynikające z niej problemy dotyczą w dużej mierze osób ubogich, bez warunków do jedzenia w lepszych lokalach.

Nawiązując do tytułu twojej płyty, zapytałbym, czy jesteś częścią rozwiązania, czy częścią problemu?

Nie wiem, czego jestem częścią. Chyba grupy ześwirowanych starych ludzi, którzy porywają się z motyką na słońce. Na tyle, na ile umiem, staram się być częścią rozwiązania. Dużo rozmawiam na ten temat z kolegą zaangażowanym w ruch klimatyczny. On sam mówi, że możemy robić, co w naszej mocy, ale bez poważnych zmian systemowych doświadczymy katastrofy. Niestety, mamy konkretne rządzące osoby, które łamią konkretne traktaty i nie przestrzegają

Czas kultury

Newsletter

Twój e-mail *

Przeczytałem i akceptuję [politykę prywatności](#)

Kontakt

Stowarzyszenie Czasu Kultury
ul. Św. Marcin 49a
61-806 Poznań
Polska
T: 61 101 54 08

Kwartalnik:
redakcja@czaskultury.pl

Dwutygodnik:
e@czaskultury.pl

[Prenumerata](#)
[Regulamin sklepu](#)
[Polityka prywatności](#)

[Współpraca](#)
[Reklama](#)

[Facebook](#)
[Instagram](#)
[YouTube](#)



ARCTIC